Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Korsyki.

I.

Na całej kuli ziemskiej niema rasy tak jednolitej pod względem charakteru jak ludność Korsyki. Każdy Korsykanin kubek w kubek jest podobnym do reszty swych współziomków. Na tę jednolitość złożyły się okoliczności rozmaitej natury: położenie geograficzne i przeszłość dziejowa tej skalistej wyspy. Kolejno panowali tu Fenicyanie, Grecy, Rzymianie, Hiszpanie, Genueńczycy i Francuzi. Każdy z tych władców pozostawił po sobie trwałe ślady, które złożyły się ogółem rzecz biorąc na stworzenie nowoczesnego typu korsykanina. Pierwotny charakter tej ludności celtyckiego pochodzenia powstał wszakże w gruncie niezachwiany, opierał się zwycięzko wszelkim zabiegom wynarodowienia ze strony obcych najezdców. Już w starożytnym Rzymie niewolnicy sprowadzeni z Korsyki używali reputacyi niepoprawnej krnąbrności. I dziś jeszcze charakter Korsykanina jest niepowściągliwym, równie nie przychylnym Francyi jak przed stu laty w dniu bitwy pod Pontenuovo. Dodatnie strony tych wyspiarzy stanowią: zamiłowanie wolności, odwaga, ambicya. Są dobrymi ojcami rodziny, wiernymi przyjaciółmi, gościnnymi dla obcych. Natomiast od genueńczyków przejęli wyrafinowaną przebiegłość, od Saracenów nosowy ton wymowy, mściwość i lenistwo od Hiszpanów. — Francuzi dali im tylko język — oficyalny, gdyż nawet wykształceńsi Korsykanie w domu i między swymi posługują się chętnie miejscowem narzeczem, mocno zbliżonem do ludowej gwary w Toskanii.

Jednem z pierwszych pytań, jakie sobie każdy musi zadać pobieżnie, chociażby zbadawszy stosunki, jest to, czy rządy francuzkie okazały się korzystniejszymi dla Korsyki od genueńskich. Odpowiedź wypadnie wcale niefortunna: Ani Genua, ani też Francya nie zapewniły Korsyce tych zdobyczy cywilizacyi, które są czemś zupełnie naturalnem w innych krajach Europy. Prawo pozostało tu jeszcze słowem bez znaczenia, pomoc własna regułą. Korsyka przedstawia się dziś jeszcze jako kraina wybrana dla wendety i bandytów.

Wendeta, być może, weszła na wyspie w zwyczaj od niepamiętnych czasów. Zdaje się wszakże, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest ona miłą pamiątką genueńskich rządów. Genua uważała nieszczęsną wyspę jedynie jako teren korzystnej eksploatacyi i zniewalała ludność ciągłem bezprawiem na niej popełnianym do krwawego odwetu. Francuzi znów nic nie uczynili takiego, coby mogło wpoić w ludność zaufanie w bezstronny wymiar sprawiedliwości i w legalne postępowanie władz administracyjnych. Francya przejęła się zupełnie polityką swych poprzedników, z tą tylko różnicą, że nie miała na celu materyalnego wyzysku, lecz raczej plany polityczne. W tej mierze polityka obecnego rządu identyfikuje się w zupełności z polityką cesarstwa i monarchji lipcowej. Po dziś dzień rząd wyzyskuje antagonizm poszczególnych rodów tutejszych w ten sposób, iż narodowi, który na wzór klanów szkockich podobną posiada organizacyę, w zamian za oddane przy wyborach usługi oddaje urzędy, synekury, probostwa. Nadto członkowie rządowego stronnictwa zażywają przywileju zupełnej bezkarności, wolności od wszelkich ciężarów. Wszyscy dygnitarze tutejsi, począwszy od prefekta a skończywszy na ostatnim woźnym, mogą broić bezkarnie — jeźli należą do rządowego stronnictwa. Tutejszy deputat, popierający rząd jest nieograniczonym panem w wszystkich gałęziach administracyi. Może bez wszelkich trudności postarać się o usunięcie prefekta, który im nie jest dogodnym, obsadzać wszystkie posady swemi kreaturami. Nadużycia przy wyborach departamentalnych i gminnych są tu na porządku dziennym, odbywają się zupełnie jawnie przy współdziałaniu organów rządowych. Zdarza się też często, że przy wyborczej walce popłynie krew. I tak pewnemu merowi, który pod rozmaitymi pozorami zwlekał z rozpisaniem ponownych wyborów, zastrzelono w ostatnich czasach syna i córkę. Czasem znów przytrafiają się przy tej sposobności epizody wielce humorystyczne, jak na przykład z owym merem, który układał fantastyczne listy wyborcze i wbrew ustawie nie dozwalał w nie wglądać członkom przeciwnego stronnictwa. Jeden z żarliwych antagonistów mera wziął na kieł, zaskarzył go przed prefektem i po długiej procedurze uzyskał wreszcie możność przejrzenia inkryminowanej listy. Pewnego dnia przychodzi do kancelaryi gminnej w towarzystwie syna i żąda pokazania sobie listy. — Przepraszam — powiada przebiegły urzędnik — mogę listę pokazać tylko panu samemu...

— Ależ ja nie mam pojęcia o czytaniu — odrzecze zacięty opozycjonista.

— Tem gorzej dla pana! Naucz się pan czytać — konkluduje mer i z olimpijską powagą chowa w mowie będący dokument do szuflady.

W codziennem nawet życiu wrogie sobie rody uważają za najświętszy swój obowiązek, by o ile możności jak najbardziej sobie dokuczyć. Krwawa wendeta wynikła, między rodziną Rochinich i Tafanich, przyprawiła o śmierć dwudziestu członków obu rodzin. Powód do niej dało zabicie psa.

Korsykanin żyje wiecznie gdyby podczas

stanu oblężenia. W pół dzikich okolicach Niolo i Sartène ludzie mieszkają w silnych blokhauzach, zabezpieczonych silną palisadą.

Mimo tylu rażących przykładów, rząd nie może dotychczas wydobyć się z zaczarowanego koła, które sam sobie stworzył. Korsykanin już z wrodzonego usposobienia jest żądnym władzy i mściwym. Goni za władzą tylko w tym celu, by panować i szkodzić swym nieprzyjaciołom. Urząd wszakże w obecnych stosunkach jest nagrodą za lojalność, udzielaną stronnictwu rządowemu. Ta stronniczość podsyca jeszcze bardziej antagonizm rodowy, podsyca ducha wendety i tworzy bandytów. W ścisłym związku z tą pogonią za urzędami powstaje politykomania, odstręczająca większość ludności od pracy. Korsykanin piastujący godność urzędową, choćby najpośledniejszą, uważa sobie za ujmę zajęcie się gospodarstwem. Dlatego też często spotyka się na wyspie obszary rolne zaniedbane i opuszczone, które z brzegiem czasu przechodzą na zupełne nieużytki. Rolnictwo na Korsyce stoi tak nisko, iż zboże trzeba sprowadzać z Francyi. Mimo kosztownych dróg skarbowych i kolei żelaznych, wywóz ogranicza się prawie wyłącznie do oliwy i cytryn i jest w ogólności bardzo nieznacznym. O racjonalnem gospodarstwie rolnem lub o chowie bydła nie ma i mowy, gdyż posiadacze większej własności gruntowej, wydzierżawiają takową za czynsz bardzo niski tym, których potrzebują przy każdoczesnych wyborach.

Celem położenia końca tym anormalnym stosunkom byłaby wielce pożądaną interwencja państwowa. By ta mogła być skuteczną, koniecznym byłby warunek, by posada prefekta w Ajaccio była bardziej wyjętą z pod wpływów deputowanych, którzy w całej administracyi szerzą bezprzykładny nepotyzm. Skutkiem tej smutnej zależności prefekta od posłów rzadkim jest wypadek, by dotychczas którykolwiek z urzędników zdołał się dłużej niż przez rok utrzymać na tem stanowisku.

Co to jest wiosna?

Za dziesięcioma rzekami, za dziesięcioma górami była sobie dziewczyna modrooka i jasnowłosa. Gdy śniegi spłynęły z rzekami lub na chmurach w kroplach rosy powędrowały w świat szeroki; gdy pola pokryły się runią zieloną, a na gałązkach zalśniły pęki, przepełnione sokami ziemi i kryjące w sobie miljony zarodków nowego życia; gdy pośród chłodnych wiatrów poranku i wieczora zjawiły się ciepłe, a łagodne powiewy południa — dziewczyna dumała, marzyła i zadawała sobie pytanie:

— Co to jest wiosna?

Poszła dziewczyna na ganek, oplątany siecią winnych i bluszczowych gałązek, na stary ganek modrzewiowy, tulący się do ściany dworka wiejskiego. Na ganku, w olbrzymim fotelu, oparty na poduszkach, otulony lisiurką, z nogami, owiniętemi w koc flanelowy, siedział dziaduś staruszek. Mleczne wąsy pokręca, na słońce czerwonymi oczyma patrzy i raduje się ciepłem, co z jasnego nieba na siwą głowę leci.

— Dzień dobry dziadusiu — rzekła dziewczyna.

— Dzień dobry, dzień dobry — odpowiedział dziaduś. - Hej, Jędrek, posuń no mnie trochę dalej... Dalej, dalej, na słońce... Dalej jeszcze... Nie żałujże mi, chłopcze!... Tak — ot dobrze...

Zdjął staruszek czapkę, futerkiem się otulił mocniej, koc szczelniej na nogach owinął...

— Piękny czas! piękny czas!.. Dzięki Bogu najwyższemu, że staremu jeszcze jedną zimę przetrwać pozwolił. Były dni ciemne i zimne, siedź stary pod piecem i odmawiaj Zdrowaśki. Ale pod piecem nie ma ani słońca ani powietrza, siedzi człowiek jak grzyb w koszu i powtarza sobie pocichu: „Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie!“ Rozumiesz, moja panno?

Dziewczyna słuchała uważnie. Dziaduś uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— Ale teraz, to co innego... Ciepło — oh ciepło! Ha! ha! ha! Ten promień złoty sam nie wie, ile radości staremu przysparza. Niby to nic: zwyczajny niby sobie promień słońca, ale po kościach ciepło rozlewa, w żyły nasze życie pędzi, aż się dusza raduje. Ciepło — oh, ciepło... Ha! ha! ha!

I śmiał się stary, na słońcu spracowane życiem członki przeciągał, jak kot na przyzbie w upalne lipcowe popołudnie, i wielbił niebo za cieplik, który go rozweselał i ożywiał.

— A gdzie synek? — zapytał.

— W polu — odpowiedział Jędrek.

— Dobrze! dobrze! Teraz dla gospodarza rozpoczyna się życie. Przez zimę siedział jak niedźwiedź w legowisku i łapę lizał. Niech teraz ziemi — dobrodziejki pilnuje. Hej młodość, młodość... A wysuńno mnie Jędrek dalej, jeszcze dalej.

Pomilczał stary chwilę i szeptał:

— Gdzie Krym, gdzie Rzym, gdzie karczmy babińskie!... Gdzie młodość! Gdzie młodość! Zużyłeś się, stary, jak pług na roli, zdarłeś się i skrzypisz, jak nienasmarowane koło. Ale inaczej to bywało, moja panno, inaczej. Siadało się na konika i dalej w koperczaki! Tędy i owędy — a wszędzie mówią: chwat! Stara gwardja była, stara gwardja! Ale teraz co innego: siedzę sobie na słońcu i na słońce oko w oko patrzę. A choć wzrok łzami zajdzie, choć się powieka od blasku mruży, niech się sobie mruży. Oto wiosna!... Ciepło, oh, ciepło...

I szeptał staruszek coraz ciszej, coraz ciszej, aż ozłocony cały od blasków słonecznych, uciął sobie drzemkę cichutką. Biała głowa pochyliła się na piersi, ręce skrzyżował jak do różańca, a od czasu do czasu w sennem marzeniu powtarzał:

— Ciepło, oh, ciepło...

Dziewczyna ucałowała dziadusia w czoło. Po stopniach ganku zeszła do ogrodu. Przeszła przez szpaler grabowy i za ogrodem na szeroką przestrzeń spojrzała. Widziała słońce jasne i promienne, czuła palące, a jaskrawe promienie, które na jej ustach pocałunki składały, a pomimo to pytała jeszcze:

— Co to jest wiosna?

Na polu, na zagonie chodzili oracze. Woły, zaprzężone parami do jarzma, odwalały płaty czarnej ziemi, mokrej jeszcze i na słońcu lśniącej. Ziemia przygotowywała się do przyjęcia ziarna, zadatku lepszej przyszłości. Na miedzy, tuż około oraczy, stał człowiek w latach

średnich, tęgi i zamaszysty, i robo ty na polu pilnował.

— A chodźże tu do nas! — zawołał. — Prosimy. Nie bój się, nie zamoczysz nóżek. Już ziemię dosyć wiatry osuszyły.

Dziewczyna ujęła obiema rękami sukienkę i dalej w drogę! Ziemia była rozmiękła, jak gąbka, wodą przesycona. Lepiła się też do bucika natrętnie i chód utrudniała. Więc dziewczyna wybiera kamyki ostrożnie, na palcach stąpa. A wuj wziął się pod boki, czapkę na ucho nasunął, wąsa kręci, a z przeprawy dziewczyny przez pole śmieje się, jak opętany.

— A co!... Lepiej chodzić po froterowanej posadzie, nie prawda! Trzeba sobie sprawić takie oto buty, moja panno, a nie jakieś tam zamorskie pantofelki z pajęczyny. Stąpaj teraz, jak sarenka po roli, stąpaj.

I uderzył kijem po cholewie grubej, juchtowej.

Odwrócił się do oraczy i huknął:

— Hej! Kuba! A ruszajże żwawo, niedołęgo! Stanął i stoi! Na myślenie ci się zebrało, co?!

Spojrzał po polu, ręką zawinął i mówił:

— Oto wiosna! przyszła latoś wcześniej, niż zwykle... Przyszła bez flagi marcowej, bez śniegów spóźnionych i przymroz ów!... Tylko pługi na pole wysyłaj i rób, rób bez przerwy! To rozumiem.

Siadł na kamieniu i na rolę z miłością patrzył.

— Jak Bóg da, słońce nie wypali, a deszcz nie zmarnuje — będziemy zbierali. Patrz, ot tam! Już pierwsze kiełki na świat boży wychodzą, niedługo będzie zielono, jak w maju... I tam, gdzie przenica, i tam, gdzie żyto, i tam, gdzie owies... Niech no trochę jesz ze obeschnie, a słońce przez dni parę bez chmur na niebie postoi, będzie wszystko rosło, jak na drożdżach!... Ani się obejrzysz, jak chleb garściami zbierać przyjdzie. Ot co jest! To wiosna!... Gdzie się to chłopak nam podziewa? A! pewnie do lasu pojechał!...

Kijem w powietrzu młyńca zawinął i poszedł dalej, pogwizdując jakiegoś przedpotowego marsza.

Dziewczyna szła dróżką polną. Widziała ziemię czarną, odwaloną pługiem, na słońcu od wilgoci błyszczącą. Widziała pola zieleniejące gdzieniegdzie roślinnością drobną. Miała przed oczyma budzącą się do życia naturę, i rolę, pełną soków żywotnych, bogatą bogactwem i plonem. Spędzane pługami, przeciągającemi po skibach ruchem wolnym i miarowym, wznosiły się hałaśliwie wrony, siadały na polach za sadem i krakały przeraźliwie na pożegnanie zimy. Bocian rozpoczął gospodarkę na kole i klekotał na pohybel żabom okolicznym. Skowronek porywał się co chwila z pod miedzy, furczał w powietrzu i świergotał zapamiętale. Wszystko było świeże jakieś i nowe, a pomimo to dziewczyna szła przed siebie zadumana i milcząca i pytała jeszcze:

— Co to jest wiosna?

Dróżka skręciła w bok, zginęła na mostku, przez rów przerzuconym, i przeszła w wygon, otoczony żerdziami. Dziewczyna skierowała się na lewo, w stronę ciemniejącego w oddali lasu. Las był ciemny w niższej części, jasny i przezroczy w górnej. Jeszcze liście nie pokryły gałązek, nie zaciemniły ażurów. Na błękitnem tle nieba rysowały się jeszcze nagie wierzchołki lip i dębów. I było cicho w powietrzu, że muszkę usłyszałbyś brzęczącą.

Nagle dziewczyna przysłoniła dłonią oczy i pod las spojrzała. Z pośród pni lipowych i dębowych ukazał się jeździec, cwałujący żwawo wygonem. Dziewczyna zawahała się, cofnęła i do domu skręciła. Było już zapóźno. Jeździec spostrzegł idącą, konia galopem puścił i kapeluszem znaki powitania dawał.

Dziewczyna przystanęła, spłoniona cała i uśmiechnięta. Zjawienie się jeźdźca nie było niespodzianką, a jednak serce biło jej, jak młotem. Jeździec tymczasem pędził, jak strzała, dobiegł, konia na miejscu osadził, ze siodła zeskoczył i dziewczynę witał.

— A! ranny ptaszek z kuzynki! Cóż to za wyprawa samotna! Nie boisz się wilków w polu?

Dziewczyna uśmiechnęła się, pokazując szereg białych ząbków.

— Dziaduś powiedział: ot wiosna! Wuj powiedział: — ot wiosna! A z wiosną wilków pod lasem niema!

Chłopak szedł jakiś czas w milczeniu. Po chwili podniósł na dziewczynę oczy, zarumienił się, jak panna, gdyż się ze spojrzeniem modrych oczu spotkał.

Świsnął szpicrutą, milczał przez czas jakiś i bąknął:

— Śliczna pogoda.

Dziewczyna nie miała nic przeciwko temu.

— Śliczna — odrzekła.

Znowu zapanowało milczenie.

— Kuzynko — rzekł chłopiec po chwili.

— Kuzynku — odrzekła dziewczyna.

— Nie nudzi ci się na wsi?

— Mnie? Wcale nie!... Dlaczegóżby mi się nudzić miało?

— Dlaczego? Albo ja wiem! Dziaduś stary, ojciec zajęty gospodarstwem, ja...

Tu urwał i gorliwie rękojeści śpicruty przypatrywać się zaczął.

— Ja... także niezabawny — dokończył.

Dziewczyna z pod oka na chłopca spojrzała. Co mu się stało, on taki zawsze rezolutny i śmiały! Co mu się stało?

A chłopiec mówił dalej:

— Gdyby się kuzynka nie gniewała, miałbym coś do powiedzenia.

Dziewczyna nie powiedziała, że się gniewać nie będzie, chłopiec zamilkł znowu. Potem, jakby nagłem jakiem ożywiony postanowieniem, rzekł z nienacka:

— Dlaczego kuzynka niedobrą jesteś dla mnie?

Dziewczynie serce biło w piersi, jak w dzwonie, przeczekała chwilkę, aby ukryć drżenie głosu i rzekła, niby spokojnie:

— Ja?

— Tak, ty!... Od paru tygodni zmieniłaś się dla mnie... jesteś tak dziwną... tak dziwną... Wychowaliśmy się prawie razem, dziś widzę, że...

— Że...

— Że jestem ci obojętnym, nieznośnym...

Dziewczyna przystanęła. Na szczęście znalazła się jakaś żerdź miłosierna, która pośpieszyła na ratunek. Oparła się i czekała:

Chłopiec przystanął, pochylił się i mówił:

— A jednak nie zawsze tak było... Dlaczego tak jest, dlaczego? Ilekroć na ciebie spojrzę, ze spojrzeniem uciekasz...

Dziewczyna miałaby coś do powiedzenia: wszak spojrzenie kuzynka było w ostatnich czasach tak dziwne, tak niezwykłe...

— To też postanowiłem sobie skończyć z tym stanem niepokoju i trwogi. Od paru dni szukałem cię, aby ci powiedzieć...

Przychylił usta do różowego uszka i kończył coraz ciszej...

— Że nie mogę żyć bez ciebie... Że cię kocham, że o tobie marzę, że upaja mnie twoja obecność. I dziś, kiedym cię samą zobaczył, postanowiłem ci zadać pytanie jedno. Odpowiesz mi otwarcie?

Czekał odpowiedzi, aż usłyszał cichutkie:

— Odpowiem...

— Czy pozwolisz mi uścisnąć tę rączkę, jak moją, i powiedzieć ojcu memu: „Ojcze! Oto kobieta, którą uwielbiam! Czy pozwolisz?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Czując jednak, iż ramię chłopca opasuje ją silnie, skłoniła główkę na ramię pytającego.

Wtedy zdawało się dziewczynie, że jakaś chmurka przeszła jej po oczach. W piersi zabrakło jej oddechu, osunęła się w ramiona chłopca bezsilna, uczuła na ustach pocałunek gorący, jeden, drugi, trzeci...

Słońce złociło łąki, pola i lasy. Ciepły powiew wiatru ciągnął z oddali, niosąc w sobie resztki zimowego chłodu. Na drzewach lśniły pąki, pierwiosnki budziły się do życia.

Dziewczyna nie pytała już, co to jest wiosna

Jan Rutkowski.

Iskra w popiołach.

Nagle p. Ada zerwała się z fotelu i podbiegła do pianina.

— Nie graj tego!... — zawołała.

Tadeusz podniósł głowę i spojrzał na nią z pewnem zdziwieniem.

— Dlaczego? — zapytał.

— Bo nie chcę...

— Przypomina ci to przeszłość?...

— Tak...

Oderwała mu dłonie od klawiszów — i piosnka ze zgrzytem zamilkła.

Usiedli obok siebie i mimowoli zaczęli mówić szeptem.

— Wspomnienia sprawiają ci przykrość? — zapytał Tadeusz.

— Boję się ich...

— Ależ to były dziecińśtwa!

Z pewną dumą pochyliła się w tył.

— Tak! tak! prawda! — szepnęła — to były dziecińśtwa!...

Zamyśliła się i zamilkła.

Była urocza w tym półcieniu, z tym niedbałym ruchem i z tem łonem falującem.

Tadeusz wpatrzył się w nią. Tak! tak!... to ta sama Ada, ta młoda, figlarna Ada, do której się modlił w skrytości i której wyznawał miłość.. tylko oczyma i tylko rymami... Uczuł raptownie silniejsze bicie serca.

— Były to dziecińśtwa — mówił. — Ale jakie piękne!... Ado, ty to pamiętasz?

Chwycił jej rękę, czuł, że zadrżała w jego dłoni, i usłyszał ciche słowo:

— Pamiętam...

— Później wyszłaś za mąż... i kochasz męża... prawda?

Spojrzała na Alberta, który spał z pochyloną na bok głową.

— Kocham... — odparła.

— Życie prowadzisz szczęśliwe...

— Szczęśliwe...

— Masz wszystko, prócz dzieci...

— Wszystko...

Nachylił się ku niej i mówił dalej:

— Masz wszystko... Tak!... A te wiośniane sny, to tak przyjemnie o nich marzyć, ale to wszystko nic... Nic... nic... nic...

Zbliżyli się do siebie, bliżej jeszcze, uczuli prawie swe oddechy i uczuli płomienie na licach.

— Nic... nic... nic... — powtarzała, — a jednak...

— Co, a jednak? — zawołał z namiętnością i z tłumionym gniewem — tyś zerwała!...

— Tyś wyjechał!

— Myślałaś o mnie kiedy?

— ......

— Więc ty mnie kochasz!

Twarz swą do twarzy jej tuż tuż przybliżył.

— Kochasz mnie?... — szeptał.

Bezwiednie głowę ku niemu skłoniła...

I nagle — usta ich się złączyły...

Odsunęli się pośpiesznie i zamilkli...

W gabinecie było już prawie ciemno i płonąca świeca łagodne, mdłe na nich światło ciskała.

Cisza panowała zupełna.

Siedzieli naprzeciw siebie, zamyśleni, nie patrząc sobie w oczy, smutni, zimni... Pocałunek, który po raz pierwszy spoił ich usta, zda się ołowiem osiadł na ich sercach... Uczuli w niem pustkę...

Zdrętwiałych i niemych zbudził rubaszny śmiech.

— Co?... i wy śpicie?... — wołał p. Albert, zrywając się z fotela. — Ha! ha! ha!.. to z nas śpiochy!... Jak Boga kocham, świeże powietrze upaja!...

Powstali oboje i spojrzeli sobie w oczy... jakże nieszczerze spojrzeli!...

. . . .

Po chwili jechali znowu we troje eleganckim wolancikiem: p. Ada, Albert i Tadeusz.

Wieczór już był i księżyc wystąpił na niebo gwiaździste. Przytem chłodny wietrzyk wiać począł, więc p. Ada przytuliła się mocniej do męża... Tadeusz silniej otulał się płaszczem.

Nic nie mówili do siebie.

A kiedy skręcali na piaszczystą drogę, Ada i Tadeusz mimowoli obejrzeli się...

Pożegnali wzrokiem — cmentarz swojego uczucia...

Ursyn.
